

## Etyka, psychologia czy filozofia nauki?

Inspiracją do napisania niniejszego tekstu była lektura niewielkiego, niespełna czterostronicowego artykułu autorstwa Lilli Moroz-Grzelak, zatytułowanego „Etyka w badaniach naukowych a bezkarność anonimowych recenzentów” i opublikowanego w numerze 1/2013 „Nauki” (s. 77-80). Po pierwszym jego przeczytaniu zareagowałem uczuciami oburzenia i głębokiego niesmaku. Wyjaśniam, iż od lat recenzuję – często (rzekomo!) „anonimowo” – teksty proponowane do publikacji, projekty badawcze, a także prace awansowe. Od jakiegoś czasu wchodzę też w skład Korpusu Ekspertów NCN. „Na co dzień” jestem zwykłym pracownikiem naukowym, parającym się głównie metodologią badań psychologicznych, psychometrią oraz etyką zawodu psychologa.

Nie ukrywam, iż wiele moich recenzji jest, niestety, negatywnych. W świetle tego, co pisze Autorka przywołanego wyżej artykułu, okazuje się, iż – po prostu – najzwyczajniej „wycinam” pomysły młodszych (a niekiedy i starszych) koleżanek i kolegów, aby je sobie bezkarnie przywłaszczyć i wykorzystać (a przy okazji błysnąć własną kompetencją), pomnażając w ten sposób swój własny dorobek. Zatem cały mój wysiłek wkładany w prace recenzenckie wypływałby wyłącznie z bardzo niskich pobudek, skutkując dramatycznym wręcz pokrzywdzeniem osób recenzowanych! Poczekawszy, aż emocje osłabną, postanowiłem więc napisać coś w rodzaju „polemicznej recenzji”, świadom przy tym, iż mogą znaleźć się tacy jego czytelnicy, którzy pomyślą sobie „acha, uderz w stół...”

A zatem – do rzeczy. Autorka w nieco zakamuflowany sposób stawia trzy główne tezy (oraz wiele pomniejszych). Owe główne tezy można zwięźle zrekonstruować w sposób następujący:

- 1) Recenzent (zwłaszcza recenzent powołany przez NCN lub ekspert NCN) jest w pełni anonimowy.
- 2) Anonimowość recenzenta wywołuje u niego poczucie całkowitej bezkarności.
- 3) Z ww. poczuciem recenzent sporządza negatywną recenzję po to, aby przywłaszczyć sobie następnie własność intelektualną należącą do autora recenzowanego projektu.

Ponadto Lilla Moroz-Grzelak przyjmuje cały szereg niewyartykułowanych *explicite* założeń nt. mechanizmów rozwoju poznania naukowego, z których najważniejsze jest to, według którego podjęcie danego problemu badawczego przez badacza X skutkuje

nabyciem przez niego prawa własności do tego problemu (prawa co najmniej dożgonnego, a może nawet podlegającego dziedziczeniu?!). Postaram się zatem wykazać, iż wszystkie owe tezy oraz ich przesłanki są błędne i oparte na wadliwym rozumowaniu.

W celu uniknięcia niepotrzebnych domysłów pragnę już w tym miejscu oświadczyć, iż niniejsza wypowiedź nie jest bynajmniej głosem w jakiejś domniemanej dyskusji nt. „Czy recenzenci powinni pozostawać anonimowi?”. Osobiście jest mi to zupełnie obojętne – umieszczanie mojego imienia i nazwiska przy każdej sporządzonej przeze mnie recenzji nie miałoby żadnego wpływu na jej treść (co najwyżej dbałbym może w większym stopniu o językową poprawność tekstu). Skądinąd jestem świadom tego, że taka deklaracja grozi mi przyklejeniem etykiety źle zsocjalizowanego dewianta, który ośmieliłby się komuś otwarcie, „prosto w oczy” powiedzieć/napisać, że jego pomysły nie są warte próby realizacji. A przecież tak nie uchodzi! (zob. dalej).

### **1. Czy recenzent rzeczywiście jest anonimowy?**

W ujęciu Lilli Moroz-Grzelak anonimowość zrównuje recenzenta z chuliganem, który ukradkiem, pod osłoną nocy, umieszcza na murze jakieś obraźliwe napisy. Niewątpliwie w drodze śledztwa przeprowadzonego przez kompetentne organy dałoby się ustalić autorstwo owych obraźliwych napisów, jednak w przypadku recenzentów żadne śledztwo nie jest potrzebne. Recenzent pozostaje anonimowy dla recenzowanego przezeń projektodawcy, a także dla jego (i – często – swoich własnych) przełożonych. Natomiast nie jest przecież anonimową postacią dla organu zlecającego sporządzenie recenzji! Przeciwnie, w przypadku recenzenta powołanego przez NCN jest on rozliczany z jakości przedstawionej przez siebie opinii przez cały panel ekspertów i koordynatora dyscypliny. Anonimowość recenzenta nie jest więc bynajmniej równoznaczna z jego totalną depersonalizacją. Powstaje oczywiście pytanie, dlaczego nie ujawnia się jego personaliów wnioskodawcy. Można wskazać co najmniej trzy powody.

Po pierwsze – dla uniknięcia prób nieformalnych nacisków ze strony wnioskodawcy, wywieranych choćby „okreśną drogą”: np. poprzez swojego przełożonego (np. dziekana, rektora) i przełożonego recenzenta (też dziekana lub rektora, koniec końców recenzent zazwyczaj gdzieś pracuje, na ogół jest to jakaś instytucja naukowa). „Panie kolego/Pani koleżanko, dzwonił do mnie mój dobry znajomy, rektor/dziekan z... . Podobno recenzuje Pan/Pani wniosek jego pracownika”. I tak dalej, łatwo można domyślić się „konkluzji” takiej rozmowy. Przyznany grant to punkty dla jednostki, a punkty przeliczają się na wysokość dotacji. I przecież trzeba sobie wzajemnie pomagać.

Po drugie, niechaj Lilla Moroz-Grzelak sama sobie spróbuje odpowiedzieć na pytanie, czy po wysłuchaniu referatu na konferencji równie łatwo przysłoby jej powiedzieć autorowi/autorce „Doskonale wystąpienie!”, jak – „Nie było to zbyt dobre...”? (załóżmy przy tym, że ta druga wypowiedź jest nieco bliższa prawdy i bywa czasem wygłaszana,

ale „za plecami” osoby, której dotyczy). Tylko dzieci bywają jeszcze „brutalnie szczerze” (o czym poucza choćby bajka „Nowe szaty cesarza”), ale w toku procesu socjalizacji są tego konsekwentnie oduczane. Mówienie szczerzej, ale niemiłej prawdy powszechnie uznawane jest za nietakt i może być traktowane jako przejaw niedojrzałości. W kontekście zagadnień poruszonych w niniejszym tekście może to mieć miejsce zwłaszcza wówczas, gdy nie zachodzi pewna asymetria pomiędzy recenzentem a recenzowanym, z jaką można mieć do czynienia np. w przypadku tzw. postępowań awansowych. Co jeszcze czasami wypada „starszemu”, nie będzie tak łatwo tolerowane w relacjach między *peers*.

Po trzecie – uzyskanie negatywnej informacji zwrotnej nt. swojego projektu może skutkować pojawieniem się u „pokrzywdzonego” chęci odwetu (zgodnie z prawidłowością, iż w pewnych okolicznościach frustracja wywołuje agresję). Anonimowość recenzenta utrudnia więc znacząco możliwość powstawania swoistej „spirali agresji”, nakręcaniej stosowaniem się do reguły: skoro ty mnie „uwalileś(-łaś)”, to ja ci się „odwinę” przy najbliższej nadarzającej się okazji (co najwyżej może pojawić się „agresja” zgeneralizowana: skoro mnie „uwalono”, to ja wszystkich też będę „uwalął(-ała”). Postulat zniesienia anonimowości recenzentów mógłby być odczytany w tym świetle dwojako. Z jednej strony obawa przed narażeniem się na „odwet” miałyby skłaniać do nieformułowania recenzji negatywnych, z drugiej zaś – gdyby to „nie zadziało”, wiadomo byłoby przy najmniej, komu się „zrewanżować”.

Zauważmy też, iż w tle pojawiają się tu jeszcze co najmniej dwa ukryte założenia. Zgodnie z pierwszym z nich, ponieważ na ogół jest znacznie trudniej (i mniej „bezpiecznie”) „zganic” kogoś jawnie, tzn. „prosto w oczy”, niż go „pochwalić”, to postulowany brak anonimowości recenzentów miałyby pociągnąć za sobą spadek liczby ocen negatywnych. Według drugiego natomiast – w społeczności badaczy ma być grzecznie i miło (bo przecież są to ludzie dorośli/dojrzały, wykształceni i dobrze wychowani!), co w efekcie ma jeszcze potęgować efekt ograniczenia liczby krytycznych recenzji, zwłaszcza w przypadku, gdy możliwości ewentualnego „odwetu” są niewielkie (np. ze względu na znaczącą asymetrię naukowej pozycji recenzenta i recenzowanego).

Usłyszenie negatywnej prawdy o sobie wywołuje konsternację, a czasami nawet wspomnianą wyżej chęć odwetu. Autor zdecydowanie krytycznej wypowiedzi z miejsca jest kwalifikowany jako jakiś nieokrzesany gbur, jednostka niedojrzała i niedostosowana społecznie, albo przypisuje się mu jakieś ukryte intencje. Jest to zresztą przecież zasadnicze przesłanie artykułu Lilli Moroz-Grzelak – sformułujmy je bez ogródek: do formułowania negatywnych recenzji motywować ma recenzenta chęć osiągnięcia przez niego korzyści poprzez przywłaszczenie sobie – w majestacie prawa! – cudzej własności intelektualnej i zrobienia na tym własnej kariery naukowej. Wprost obrzydliwe!

Zaś „pokrzywdzonemu” zazwyczaj robi się przykro i wstyd. Autorka potwierdza to bezpośrednio swoją wypowiedzią nt. „frustratów”, którzy „po porażce nigdy więcej żąd-

nego wniosku nie złożą w obawie, że przy ponownej złej ocenie znowu zasilą dostępną w Internecie listę wniosków odrzuconych, co chluby raczej im nie przynosi” (s. 78-79). Wynikałoby z tego, iż głównym – jeśli nie jedynym?! – motywem złożenia wniosku przez takiego „frustrata” było przysporzenie sobie owej chluby, a nie dążenie do poznania prawdy, chęć rozwiązania jakiegoś problemu czy zamiar wytworzenia nowej wiedzy. Czyli dążenie do „gwiazdorstwa”, charakterystyczne bardziej dla literatury i sztuki. Tylko czemu zaspokajanie takich zachcianek miałoby być finansowane z funduszy będących w dyspozycji Narodowego Centrum NAUKI (przecież!)? Budzić to może ponadto podejrzenie zainfekowania tego typu wnioskodawcy jakimś wirusem postmodernizmu, ale o tym dalej jeszcze będzie mowa.

W każdym razie nieprzyjęcie do finansowania takiego wniosku nie powinno więc budzić większego zdziwienia. Skrajnie psychologizując interpretację sytuacji recenzowania i relacji recenzent – recenzowany potwierdza też (wprawdzie nieco pośrednio, ale przecież nawet bardziej wyraziście) zdanie bezpośrednio poprzedzające przywołaną wypowiedź. Mianowicie Lilla Moroz-Grzelak określa mianem „desperatów” tych, którzy (skądinąd całkiem rozsądnie!!!) poprawiają i składają wnioski „do szczęśliwego skutku” (s. 78). Uczenie się na własnych błędach ma być więc rzekomo „desperacją”! Czyżby Autorka była zdania, że jeśli ktoś już raz sporządzi jakiś wniosek, to przecież po prostu wyłącznie po to, aby uzyskać jego finansowanie, przysparzając sobie chluby (i pieniądze), a więc odrzucenie takiego wniosku jest co najmniej nietaktem, czyli obrażenie się jest naturalną reakcją? Albo że wniosek zawsze jest już doskonały w momencie pierwszego złożenia?<sup>1</sup> Albo może znów wyłania się widmo postmodernizmu – wszystkie naracje są równie dobre, czyli żadna nie jest gorsza, więc po co którąś z nich, zwłaszcza akurat tę, „poprawić”?...

Trudno mi bowiem powiedzieć, jak ma się rzecz z recenzowaniem paranaukowej eseistyki, od jakiegoś czasu chętnie uprawianej – pod sztandarami postmodernizmu – w niektórych naukach humanistycznych i społecznych. Ale być może Lilli Moroz-Grzelak chodzi właśnie o takie przypadki? Wskazywałyby na to następujący fragment jej artykułu<sup>2</sup>:

„[Recenzent] (...) sugeruje literaturę, która w jakimś zakresie **może być przydatna, choć nie zawsze**. Nic to, że **jej zakres nie mieści się w ramach opi-**

<sup>1</sup> Proponuję Autorce przejrzenie dowolnych wiodących zagranicznych czasopism naukowych. Z rzadka tylko można natrafić w nich na artykuł, w którym na koniec nie pojawia się sekwencja: „*received* (data 1); *revision received* (data 2); *accepted* (data 3)”, przy czym na ogół poszczególne daty 1, 2 i 3 dzieli po kilka miesięcy. Tam też recenzenci (anonimowi!) i redaktorzy naczelni opóźniają publikację i kradną pomysły, żeby wcześniej ogłosić je jako swoje? Że nie wspomnę już o tekstach w ogóle nieprzyjętych do druku...

<sup>2</sup> Proszę wybaczyć zamieszczenie tak obszernego cytatu, ale przywołane sformułowania są bardzo znamienne i będą w dalszej części niniejszego tekstu jeszcze nie raz wykorzystywane.

**niowanego tematu, a formułowane wnioski w żadnej mierze do niego nie przystają.** W głowie recenzenta pojawia się inna **wizja**, która w efekcie odbiega od ocenianego pomysłu grantowego. Nic to, że temat, jaki ocenia, **nie był nigdy eksplorowany**, że proponowane badania **nigdy nie były prowadzone**, to nie jest istotne, ważne staje się to, by recenzent mógł się wykazać. Wykaże się więc, nie bacząc na to, że zgłaszane przez niego **uwagi często mają się nijak do przedkładanego projektu**" (s. 80; skrót, wyróżnienia i uzupełnienie Z.S.).

Jak to możliwe, że ani koordynator, ani przewodniczący zespołu, ani żaden z ekspertów takiej nieprzystawalności recenzji do wniosku nie zauważyli? A co z drugą i ewentualnie trzecią recenzją? Też „mają się nijak do przedkładanego projektu”? Nie występuje jakaś znacząca rozbieżność w ocenach? A przecież biedak recenzent po prostu być może nie zrozumiał, o co chodziło wnioskodawcy – w przypadku postmodernistycznego interpretatywizmu nietrudno o to, wszak zazwyczaj nikt poza autorem nie ma pewności, co miał on na myśli (a czasem można odnieść wrażenie, że autor też nie jest tego pewien). Ale w czym tu problem, przecież wszelkie dyskursy są równoprawne...

W normalnie (czytaj: niepostmodernistycznie) uprawianej nauce sytuacja braku związku między uwagami recenzenta a treścią projektu jest raczej trudna do wyobrażenia, a nawet gdyby taka sytuacja zdarzyła się, odbiegając przy tym znacząco od stanowisk dwóch ekspertów niezależnie oceniających wniosek, to po prostu taka pseudorecenzja zostałaby unieważniona. Jak dotąd, nie zetknąłem się jednak z takim przypadkiem. Inaczej natomiast może się mieć rzecz z recenzowaniem pomysłów na postmodernistyczne uprawianie nauki. Załóżmy, że dziwnym trafem mocno krytyczne opinie obu ekspertów i dwóch lub trzech recenzentów, niezależnie od siebie oceniających taki projekt, są całkiem zbliżone, a jednocześnie wszystkie one (rzekomo) „nijak się do niego mają”. Czyżby wszyscy oceniający – korzystając z „anonimowości” – równocześnie zapragnęli „przejąć” ten wniosek i nim kierować?! I każdy z nich ma swoją „inną wizję” tego tematu, a jednocześnie wszyscy – taką samą!? A może nawet każdy ma inną, ale różną od autora?!

## **2. Czy anonimowość zawsze rodzi poczucie bezkarności (i co to miałoby znaczyć)?**

Nie jest to odpowiednie miejsce na systematyczny wykład z psychologii społecznej, nie uważam się zresztą za wystarczająco kompetentnego specjalistę z zakresu tego działu psychologii i co najwyżej mogę odesłać do lektury powszechnie dostępnych podręczników z tej dziedziny (por. np. m.in. Aronson, Wilson & Akert, 1994/1997; Crisp & Turner, 2007/2009; Doliński, 2005; Wojciszke, 2011). Pragnę jedynie zauważyć, iż w przypadku recenzenta jego anonimowość niekoniecznie musi skutkować wytworzeniem się u niego poczucia depersonalizacji, które to poczucie faktycznie może sprzyjać podejmowaniu działań wysoce nieetycznych, bądź powstrzymywaniu się od podejmo-

wania działań moralnie pożądanych. Sprawa jest jednak znacznie bardziej złożona. Wyniki badań nie są do końca jednoznaczne, a na ich interpretację znacząco wpływa ponadto zakładana koncepcja antropologiczna. Jeśli bowiem przyjmujemy, iż człowiek jest „z gruntu zły”, to w sytuacji ograniczonej kontroli jego zachowania lub jej braku będziemy dopatrywać się w jego działaniach znamion ulegania egoistycznym, np. biologicznie zdeterminowanym popędom. Pogląd taki bywa zresztą szczególnie popularny w systemach totalitarnych rozmaitej maści. „Jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno” brzmi bowiem złowieszczo.

Nie do końca jednak wiadomo, od czego to zależy, że – na przykład – w warunkach pełnej anonimowości jedni respondenci badań ankietowych będą ujawniać prawdę, jakiej być może nigdy nie ośmieliliby się wyjawiać, gdyby ich personalia miały być znane, a inni – korzystając z „bezkarności” będą zachowywać się nieodpowiedzialnie, udzielając odpowiedzi przypadkowych bądź niepoważnych. Można jedynie przypuszczać, że w tym przypadku właściwe zrozumienie przez badanego celu przeprowadzenia ankiety i pozytywna ocena ważności tego celu będą sprzyjać poważnemu przezeń jej traktowaniu.

Recenzent, któremu zapewnia się anonimowość, może być po prostu bardziej szczerzy, odważny, nie obawiać się narażenia na infamię, towarzyski ostracyzm czy szykany ze strony przełożonych. Pisze prawdę, wkładając w to dużo wysiłku, gdyż musi przekonująco uzasadnić każdy zarzut. Znacznie łatwiej jest przecież napisać „grzecznościową” recenzję: „obiecujący młody badacz”, „poznawczo doniosły i ciekawie ujęty problem”, „oryginalna i intrygująca koncepcja badań” itd. w tym stylu. Zajmuje to parę chwil, a nie parę godzin. I wszyscy są zadowoleni.

### **3. Czy sporządzanie negatywnych recenzji (zawsze) motywowane jest instrumentalnie?**

Lilla Moroz-Grzelak zdaje się odpowiadać na to pytanie zdecydowanie jednoznacznie – tak. A w grę wchodzić ma tylko jeden motyw – korzyść własna recenzenta. Autorka najwidoczniej nie wyobraża sobie, że ktoś może złożyć bardzo słaby projekt, wręcz zły. I znów skojarzenie z postmodernizmem nasuwa się samo – tam przecież wszystkie dyskursy są równoprawne, nie ma lepszych i gorszych...

Jako „anonimowy recenzent” i „niezależny ekspert” z przykrością muszę stwierdzić, iż merytoryczny poziom wniosków bywa, delikatnie mówiąc, mocno zróżnicowany, a przypadki rozbijające wręcz ignorancji i niekompetencji oraz nieporadności badawczej, skądinąd dziwnie często towarzyszące próbie ostentacyjnie jawnego „skoku na kasę” w celu doposażenia siebie bądź zatrudniającej instytucji, bynajmniej nie należą do rzadkości. Lilli Moroz-Grzelak najwidoczniej nie mieści się w głowie, iż recenzent może kierować się dbałością o dobro reprezentowanej przez siebie dyscypliny czy troską o racjonalne dysponowanie pieniędzem publicznym. Nic z tych rzeczy, liczyć się ma

tylko jego „poszerzona wizja wieloosobowego przedsięwzięcia obliczonego do realizacji przez wiele lat”<sup>3</sup>, projektu w nowym opracowaniu, „którym sam niebawem będzie kierował” (s. 80). Frustracja, cynizm czy... nieświadomy lęk przed identyfikacją z taką postawą w warunkach anonimowości („gdybym była na jego – anonimowego recenzenta – miejscu, mogłabym właśnie tak postąpić”)?...

Nie znaczy to bynajmniej, iż całkowicie wykluczam możliwość nieetycznych działań recenzenta, w tym też takich, o których pisze Lilla Moroz-Grzelak. W każdej chyba profesji wskazać można „czarne owce”. Dostrzegam tu jedynie nieuprawnione wnioskowanie, jakoby z faktu, iż w pewnych okolicznościach niektórzy kradną, miałyby wynikać, że w tych okolicznościach kradną wszyscy. Skądinąd z tej generalizacji logicznie wynikałoby też, iż musiałoby dotyczyć to również Autorki takiego rozumowania.

Niemniej w grę wchodzi tu kwestia znacznie poważniejsza, mianowicie przyjmowane przez Autorkę pewne założenie dotyczące przebiegu poznania naukowego, o którym na wstępie wspominałem, a które zwięźle można wyrazić następująco: problem naukowy jest niezbywalną własnością jego autora.

#### 4. Do kogo należą problemy badawcze?!

W niektórych podręcznikach metodologii można jeszcze natrafić na sformułowanie, iż problem badawczy jest pytaniem, na które badanie naukowe ma dostarczyć odpowiedzi (zob. np. Nowak, 1970, s. 214), co może stawać się źródłem pewnych nieporozumień. W istocie bowiem mamy tu do czynienia jedynie z pewnym skrótem myślowym: niewątpliwie punktem wyjścia wszelkiego procesu badawczego jest sformułowanie pytania (por. Nowak 1985/2007, s. 26), niemniej zrównanie problemów badawczych z pytaniami je wyrażającymi prowadziłoby do cokolwiek absurdalnych wniosków: jak nie byłoby pytań, to nie byłoby problemów (?!!).

Bardziej dogłębna i systematyczna analiza pojęcia „problemu badawczego” wymagałaby odrębnego opracowania, w tym miejscu jedynie odwołam się do koncepcji „Świata nr 3” Karla R. Poppera : „Wśród obiektów wypełniających mój «trzeci świat» są przede wszystkim systemy teoretyczne; ale równie ważnymi obiektami są **problemy** i **sytuacje problemowe**”<sup>4</sup> (Popper, 1972, s. 107; wyróżnienie: Z.S.). I dalej: Świat nr 3 „jest światem intelligibiliów lub idei w obiektywnym sensie, jest to świat możliwych przedmiotów myśli: świat teorii samych w sobie, ich relacji logicznych, argumentów i **sytuacji problemowych samych w sobie**”<sup>5</sup> (*ibidem*, s. 154; wyróżnienie: Z.S.).

<sup>3</sup> Czyżby ujawniała się tu zawołowana niechęć L. Moroz-Grzelak do konieczności uprawiania zespołowej pracy naukowo-badawczej, wynikającej m.in. ze zróżnicowanych predyspozycji poszczególnych badaczy? (por. np. Nowak, 1989, zwł. s. 29-36; Nosal, 2007).

<sup>4</sup> Tłumaczenie wg wydania polskiego (2002, s. 139).

<sup>5</sup> Jw., s. 195.

Z jednej strony problemy badawcze mają więc obiektywny status, mogą być rozpoznawane i wyrażane za pomocą pytań, ale też mogą długo pozostawać ukryte przed badaczami. Z drugiej niejako strony pytania badawcze mogą odnosić się do problemów pozornych, fikcyjnych, czyli takich, które nie mają statusu sytuacji problemowej w obiektywnym sensie, lecz wynikają po prostu np. z niewiedzy (czy szerzej – niekompetencji) jakiegoś konkretnego badacza. Nie ma tu miejsca, aby szerzej rozwinąć ten wątek, niemniej obiektywizm problemów (sytuacji problemowych) nadaje sens poznaniu naukowemu, w przeciwnym razie mielibyśmy do czynienia co najwyżej z „radosną twórczością badaczy”, z której w każdej chwili można by się wycofać bez większej szkody dla nauki, kultury i cywilizacji. Co najwyżej tacy „badacze” musieliby poszukać sobie jakiegoś innego zajęcia.

W kontekście koncepcji Karla R. Poppera, czy szerzej – hipotetystycznej koncepcji poznania naukowego (a w zasadzie trzeba by rzec – posthipotetystycznej, dla uwypuklenia faktu, iż podejście to zostało uszczegółowione i upowszechnione przez kontynuatorów myśli Poppera), problemy badawcze (sytuacje problemowe), jako przynależące do Świata nr 3, stanowią więc wspólną własność wszystkich uczestników praktyki naukowej, by nie rzec – całej ludzkości. Oczywiście „uprzywilejowani” są jakoś tu przedstawiciele danej dyscypliny naukowej – z uwagi na swoje kompetencje merytoryczne do zajmowania się określoną problematyką. Żaden z „rzeczywistych” problemów badawczych (tj. takich, które faktycznie „zamieszkują” Świat nr 3) nie może jednak zostać przywłaszczony sobie przez konkretnego badacza.

W tym świetle sytuacja opisana przez Lillę Moroz-Grzelak jawi się zgoła inaczej. Oto jakiś badacz X rozpoznał, załóżmy, że trafnie, jakąś obiektywną sytuację problemową. Niestety, próba uporania się z nią przerosła jego możliwości – X nie był w stanie na tyle przekonująco udokumentować swoich kompetencji, aby można było powierzyć mu środki finansowe (pieniądze publiczne przecież!) na podjęcie zaprojektowanych przezeń badań. I co wtedy?

W nauce „normalnej” (jeśli wolno mi posłużyć się terminologią wprowadzoną do filozofii nauki przez Thomasa Samuela Kuhna (1996/2001)) sprawa jest dość oczywista. Po pierwsze, badacz X może próbować poprawić swój projekt i zaproponować zmodyfikowaną próbę rozwiązywania tego problemu, kierując się m.in. wskazówkami recenzentów. Po drugie, każdy inny badacz/zespół badawczy (niekoniecznie któryś z recenzentów!) ma również „prawo” zająć się tą „łamiągówką” (jeśli pozostać przy nazewnictwie Kuhna) – owe „łamiągówki” należą bowiem do nauki ujmowanej jako całość (z ewentualnym podziałem na dyscypliny naukowe), nie zaś do poszczególnych badaczy. Ów przykładowy badacz X musi więc być przy tym w pełni świadom, że ktoś inny może również zająć się „jego” problematyką i wyprzedzić go w jej rozwiązywaniu. Wówczas – po trzecie – badacz X ma możliwość powtórzenia czyichś badań, najlepiej w celowo



niecو zmodyfikowanych warunkach (por. np. Wojciszke, 2004/2011), w ten sposób wnosząc swój wkład w rozwój uprawianej dyscypliny.

Replikacje badań też są bowiem bardzo ważne, w naukach przyrodniczych żaden rezultat nie będzie zaakceptowany i włączony do zasobu wiedzy, jeśli nie zostanie uzyskany w kilku niezależnie przeprowadzonych badaniach. Inna sprawa, że palma pierwszeństwa – jeśli wyniki się powtórzą i będą zgodne – przypadnie temu, kto faktycznie jako pierwszy odkrył coś nowego. Ale jest to „nagroda” za podjęcie ryzyka – przecież mogło „nie wyjść”. Poznanie naukowe jest bowiem działalnością związaną ze skrajnie wysokim ryzykiem – wprowadzanie zmian do zastanego stanu wiedzy można przyrównać do mutacji w żywych organizmach: tylko bardzo nieliczne z nich okazują się przystosowawcze. Wspomniane ukryte założenie, że w nauce ma być miło i przyjemnie, nijak się więc ma do rzeczywistości. Czasami może faktycznie przypomina ona raczej ów brutalny wyścig szczurów, warto jednak pamiętać, iż dzięki takim „wyścigom” rozwinęła się cywilizacja.

Natomiast w „wizji” nauki wyłaniającej się z tekstu Lilli Moroz-Grzelak sprawy powinny mieć się zupełnie inaczej. Otóż ów badacz X, o którym była mowa w poprzednich akapitach, odkrywając/formułując jakąś „łamigłówkę”, miałby nabierać wieczystego prawa do zajmowania się nią. Miałby mieć zagwarantowane prawo do „dłubania” sobie przy niej do końca dni swojej aktywności zawodowej, bez względu na uzyskiwane rezultaty i, być może, móc ją ewentualnie przekazać „w spadku” wybranym przez siebie następcom. Jego miejsce w piaskownicy nauki uwiecznione byłoby w jakiejś księdze wieczystej i wara od niego innym, tylko on mógłby tam sobie grzebać swoją łopatką i grabkami!

Być może trochę przejawiam ten obraz, co mogłoby wskazywać na błędne rozpoznanie przesłanek rozumowania. I – chyba – owszem. Warto bowiem zwrócić uwagę na to, iż w przywołanym na stronie 150 tego tekstu cytacie z artykułu Lilli Moroz-Grzelak nie ma słowa na temat oceny istotności wkładu projektowanych badań dla rozwoju dyscypliny. Wynika natomiast z niego, iż dla wydania entuzjastycznej ich oceny w zupełności miałyby wystarczyć to, że są one oryginalne, tzn. „temat nie był nigdy eksplorowany”, a „badania takie nigdy nie były prowadzone”. I z tego względu właśnie rodzą się moje, parokrotnie już sygnalizowane, podejrzenia o ukrytą w tle „dziwną słabość” Autorki do postmodernistycznej koncepcji nauki, gdzie każda opowieść jest równie dobra, a przede wszystkim – zawsze jest „czyjaś”, tzn. jest czyjąś konstrukcją (i niczym więcej). Obiektywnej rzeczywistości (jakkolwiek pojmowanej) po prostu ma nie być.

Tak uprawiana „nauka” przypomina więc raczej literaturę i sztukę, gdzie wszystko jest wyłącznie literacką czy artystyczną fikcją, mającą swojego twórcę-kreatora. Dopiero w takim kontekście roszczenie przez „badaczy/artystów” prawa własności do swoich „tematów badawczych/artystycznych” nabiera jakiegoś sensu. Muszę jednak wyznać, iż na tym gruncie nie czuję się zbyt pewnie. Uprawiania paranauki na modłę postmo-

dernistyczną, czyli snucie narracji osobistych dyskursów, równoprawnych z innymi takimi dyskursami, nie uważam za działalność zasługującą na miano naukowej. Bynajmniej nie ze względów aksjologicznych, lecz jedynie semantycznych – zacieranie pojęciowych różnic między wiedzą naukową a postmodernistycznie dekonstruowaną wiedzą literacko-artystyczną nie byłoby bowiem – moim zdaniem – najszcześniejszym pomysłem.

Za mało znam się też na współczesnej literaturze czy sztuce, żeby jednoznacznie stwierdzić, czy jeżeli krytyk literacki lub muzyczny (a skądinąd równocześnie poeta lub kompozytor) napisze krytyczną recenzję jakiegoś poematu lub symfonii, a jednocześnie zainspirowany tym poematem lub symfonią stworzy własne dzieło na podobny temat, tylko lepsze, to czy mamy tu do czynienia z przywłaszczeniem sobie własności intelektualnej (w tym przypadku – pomysłu, idei, tematu?), czy też nie. Ewentualne rozstrząsanie takiej kwestii pozostawiam jednak specjalistom spoza obszaru nauki.

## 5. Zakończenie

Na koniec pragnę zaznaczyć, iż reprezentuję inną dyscyplinę naukową niż Lilla Moroz-Grzelak ani nie znam treści innych jej publikacji. Dopuszczam też myśl, iż w obszarze nauk humanistycznych i społecznych są dyscypliny naukowe, w których środowiskowe animozje i – ogólnie mówiąc – mechanizmy psychologiczne odgrywają istotną (negatywną!!!) rolę w procesie rozwoju poznania naukowego, a nieetyczne (skrajnie egoistyczne) zachowania recenzentów, nadużywających swojej pozycji do realizacji prywatnych celów, stają się swoiście pojmowaną normą. Wyjaśniam też, iż faktycznie nie przypisuję bynajmniej Autorce przyjmowania postmodernistycznej orientacji „metodologicznej”, gdyż nie mam do tego wystarczających podstaw. Chodzi mi jedynie o to, iż entuzjaści tej „tendencji we współczesnej kulturze, filozofii nauki, życiu społecznym i politycznym”<sup>6</sup> mogą zaczerpnąć z wypowiedzi Lilli Moroz-Grzelak argumenty dla perswadowania swojej wizji uprawiania „nauki”: każdy pomysł na badania „naukowe” (cokolwiek dla nich miałyby to oznaczać) jest równie dobry (a im mniej jest zrozumiały, tym jest lepszy), precz więc recenzentom, a zwłaszcza tym anonimowym, od cudzych pomysłów!

## Bibliografia

- Aronson E., Wilson T.D., Akert R.M. (1994). *Social psychology. The heart and the mind*. New York: HarperCollins College Publishers [wyd. polskie: Aronson E., Wilson T.D., Akert R.M. (1997). *Psychologia społeczna. Serce i umysł*. Tłumaczenie zbiorowe, red. nauk. W. Domachowski. Poznań: Zysk i S-ka Wydawnictwo].

<sup>6</sup> Sformułowanie z: <http://encyklopedia.pwn.pl/haslo.php?id=3960928> (dostęp: 27.04.2013).

- Crisp R.J., Turner R.N. (2007). *Essential social psychology*. Thousand Oaks: Sage Publications [wyd. polskie: Crisp R.J., Turner R.N. (2009). *Psychologia społeczna*. Tłumaczenie zbiorowe, red. nauk. M. Kossowska. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN].
- Doliński D. (2005). *Techniki wpływu społecznego*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.
- Kuhn T.S. (1996)<sup>7</sup>. *The structure of scientific revolutions*. Third Edition. Chicago and London: The University of Chicago Press [wyd. polskie: Kuhn T.S. (2001). *Struktura rewolucji naukowych*. Tłum. H. Ostromecka. Warszawa: Fundacja Aletheia].
- Nosal Cz. S. (2007). *Psychologia poznania naukowego – umysły i problemy*. Nauka, 2, 57-76.
- Nowak L. (1998). *O ukrytej jedności nauk społecznych i nauk przyrodniczych*. Nauka, 1, 11-42.
- Nowak S. (1970). *Metodologia badań socjologicznych*. Warszawa: PWN.
- Nowak S. (1985). *Metodologia badań społecznych*. Warszawa: PWN [wydane ponownie w roku 2007 przez Wydawnictwo Naukowe PWN]<sup>8</sup>.
- Popper K.R. (1979). *Objective knowledge. An evolutionary approach. Revised edition*. Oxford: Oxford University Press 1979 [wyd. polskie Popper K.R. (2002) *Wiedza obiektywna. Ewolucyjna teoria epistemologiczna*. Tłum. A. Chmielewski. Wyd. 2. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN].
- Wojciszke B. (2004). Systematycznie Modyfikowane Autoreplikacje: logika programu badań empirycznych w psychologii. [W:] J. Brzeziński (red.), *Metodologia badań psychologicznych. Wybór tekstów* (s. 44-68). Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN [druga edycja: Wojciszke, B. (2011). Systematycznie modyfikowane autoreplikacje: logika programu badań empirycznych w psychologii. [W:] J. Brzeziński (red.), *Metodologia badań społecznych. Wybór tekstów* (s. 19-54). Poznań: Zys i S-ka Wydawnictwo].
- Wojciszke B. (2011). *Psychologia społeczna*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.

### An ethics, a psychology or a philosophy of science?

This article is a certain kind of polemic about Lilla's Moroz-Grzelak "Ethics in research and impunity of anonymous reviewers" published in *Nauka* 1/2013, pp. 77-81. The main hidden arguments set by L. Moroz-Grzelak are reconstructed and their falsity is exhibited. In the opinion of author of this article inter alia: reviewers in fact are not fully anonymous, critiques are not the only way to appropriate ideas of reviewed authors, and research problems are not a property of concrete researchers. In conclusion is pointed out that such ideas like that which are presented by L. Moroz-Grzelak may become arguments for believers of post-modernistic way of conducting the scientific research.

**Key words:** ethic of science, psychology of science, philosophy of science, post-modernism

<sup>7</sup> Pierwsze wydanie amerykańskie ukazało się w 1962 r. (wyd. polskie: Kuhn, T.S. (1968). *Struktura rewolucji naukowych*. Tłum. H. Ostromecka, przejrz. i red. S. Amsterdamski. Warszawa: PWN).

<sup>8</sup> Kolejne wydania ukazały się w 2010 i 2012 r.